



**MÓWILI, ŻE JEST
NIEBEZPIECZNA.
MYLILI SIĘ.**

**CZAROWNICE
NIE PŁONĄ**

JENNY BLACKHURST

Prolog

– Imogen? To ty?

Kobieta w telefonie mówi bez tchu, gorączkowo, poznaję ją natychmiast.

– Uspokój się, Saro – proszę. – O co chodzi?

– O Ellie – odpowiada Sara Jefferson drżącym głosem. – Wysłała ze szkoły w czasie przerwy obiadowej. Nie wiem, dokąd poszła.

Wzdycham. Powtarzaj za mną: „To nie twój interes. Nie twoja broszka”.

– Saro, nie pracuję już przy sprawie Ellie. Odsunęli mnie. Nie powinnam się nawet interesować jej wagarami.

– Nie rozumiesz. – Sara mówi coraz natarczywiej. – Nie martwię się o Ellie, tylko o Lily.

Machinalnie kładę dłoń na brzuchu i dopiero po chwili przypominam sobie, że dziecka już tam nie ma.

– Co się stało z Lily?

Odgłos, który wydaje Sara, nie jest chlipnięciem ani jękiem, lecz czymś pomiędzy jednym a drugim.

– Znikła. Ellie ją zabrała.

1

Ellie

Ellie leży na nie swoim łóżku, w obcym pokoju i nasłuchuje odgłosów obcej rodziny, która na dole ogląda telewizję. Pociera kciukiem krzesiwo zapalniczki. W górę strzela pomarańczowy płomień, po czym znika, kiedy Ellie cofa palec.

Pstryk, płomień.

Pstryk, płomień.

Pstryk, płomień.

Przeciąga koniuszkami palców przez wierzchołek płomienia i ze zdziwieniem zauważa, że jej nie zaboląło. Próbuje ponownie, tym razem wolniej. Czuje gorąco, ale nic więcej. Wsuwa palec głębiej w niebieski żar i trzyma, aż ból przeszywa jej ciało, mimo to nie jest tak źle. Przeciwnie, jest wspaniale. Czy tak się czuli jej rodzice? Wyzwalająca tortura? Znowu wkłada dłoń do ognia, tym razem aż po nasadę, nieruchomieje i czeka na ból. Kiedy nadchodzi, jest silniejszy; z szoku Ellie puszcza przycisk zapalniczki. Serce jej wali, ale zapala znowu... pstryk, płomień.

Dokładnie kiedy jej nozdrza zaczyna lizać smród przypalonego ciała, otwierają się drzwi i w progu staje jej przybrana siostra, Mary. Na widok Ellie oczy robią jej się okrągłe, a szczęka opada jak kotom z kreskówki.

– Ellie! Co ty wyprawiasz? – Chwyta ją za rękę i odciąga od ognia. – Zwariowałaś? Zrobisz sobie krzywdę.

W tym momencie dłoń Ellie przesywa rozpalony do białości ból. Zdziwiona spuszcza wzrok i widzi, jak na skórze już tworzą się pęcherze wypełnione płynem.

– Ja... nie wiem, tylko się bawiłam, to wcale nie bolało. – Patrzy na swoją dłoń z łagodnym zaciekawieniem. – Teraz boli.

Mary delikatnie ściska jej ramię.

– Chodź, pomogę ci. Posmarujemy ranę maścią, owiniemy bandażem i powiemy mamie, że się skaleczyłaś, kiedy pomagałaś mi przy obiedzie.

Ellie patrzy na poparzoną skórę i wyobraża sobie, jak pęcherze rozprzestrzeniają się po całym ciele, jak pokrywają jej ramię, barki, szyję.

Mary z niedowierzaniem kręci głową.

– Będę ci codziennie zmieniać opatrunek i smarować maścią, ale jeśli rana się nie zagoi, to trzeba będzie wymyślić inną historyjkę. – Patrzy z troską na Ellie. – Co ci strzeliło do głowy? Myślisz, że twoja mama by się ucieszyła, gdyby zobaczyła, co sobie robisz?

– Moja mama nie może niczego widzieć, prawda? Moja mama nie żyje.

Ellie ma uczucie, jakby jej brzuch wypełnił się zielonym, pulsującym szlamem, niczym pomarańcza, która gnije w środku, lecz trującego mięszu nie widać pod nietkniętą skórką. Nie jest taka jak Mary, nie przypomina mieszkańców tego domu. Niektórzy to wiedzą; potrafi to wyczytać w oczach ludzi spotykanych na ulicy – przechodzą na drugą stronę, chwytają swoje dzieci za rączkę trochę mocniej niż zwykle, chociaż właściwie nie wiedzą, dlaczego to robią. Ellie wie. Wie, co w niej dostrzegają.

– Ale cię obserwuje, nie wolno ci o tym zapominać – naciska

Mary. – Twoja mama patrzy z nieba i wszystko widzi. I chce, żebyś była szczęśliwa, żebyś o siebie dbała, żebyś dorosła i założyła własną rodzinę. Tego by chciała, gdyby tu była, i tego chce tam, gdzie jest teraz. Musisz się przystosować, Ellie. Wiem, że to trudne, wiem, że nie jesteśmy twoją rodziną, ale musisz się postarać.

– A może ja nie mam ochoty się starać? Może wcale nie chcę należeć do waszej rodziny?

– Posłuchaj, Ellie, wiem, jak ci ciężko, widziałam wiele dzieci, które przewijały się przez nasz dom, te dzieci przepełniały gniew, bo nigdy nie zaznały miłości. Ale z tobą jest inaczej, ty wiesz, co to znaczy być kochaną i żyć w domu pełnym ciepła i współczucia. Może teraz tego nie czujesz, ale nie straciłaś tego na zawsze. Nie wolno ci się obwiniać o to, co się stało, nieważne, co ci mówią ludzie.

Ellie kiwa głową, ale w środku wie, że Mary nie ma racji. Mary jest starsza i myśli, że wie wszystko lepiej, ale to nieprawda. Nie zna jej. Nikt jej nie zna.

2

Imogen

Drzewa rosnące po obu stronach drogi prowadzącej do Lichoty tworzą nad głowami baldachim i rzucają na asfalt cień nakrapiany cętkami przedzierających się między liśćmi promieni słońca. Mrużę oczy, mam wrażenie, jakbym jechała cudownym tunelem do swojego ostatniego punktu przeznaczenia. Na sam koniec drogi.

Thomas Wolfe powiedział, że nie ma czegoś takiego jak powrót do domu i może powinnam była o tym pamiętać, zanim się uparłam, żeby wysłać CV na to stanowisko, a tym samym uruchomiłam łańcuch wydarzeń, które po piętnastu latach wiodą mnie z powrotem do rodzinnego miasta. Może powinnam być rozsądniejsza, powinnam wyzbyć się złudzeń.

Przed nami leży Lichota, brzydka i odstręczająca, tak jak sugeruje jej nazwa, nędzna i chuderlawa. Przywodzi na myśl salę luster; każdy kąt jest koślawy i zdeformowany, nie ma znaczenia, z jakiego miejsca się na nią spojrzy, coś zawsze jest nie tak. Domy o szaroburych frontach stoją porzucone i opustoszałe. Populacja topnieje.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że Lichota była niegdyś wspaniałym miastem; uchwycony w przelocie fragment majestatycznego budynku lub uderzająco piękna rzeźba może na-

sunąć myśl, że ktoś kiedyś wiązał z tym miejscem wielkie plany, lecz dawno je porzucił. Nawet gdy byłam dzieckiem, rodzinne miasto budziło we mnie w tej samej mierze fascynację, co wstręt. Ta sama magnetyczna siła przyciągała tu deweloperów oraz firmy budowlane i ten sam niewyjaśniony lęk i przecucie grozy wyganiały ich stąd z opowieściami o nieużytkach i uciążliwej gospodarce przestrzennej na ustach. Bo kto chciałby się przyznać, że zrezygnował z obiecującego interesu i stracił nawet dziesiątki tysięcy dolarów z powodu odczuć?

Prawie o nich zapomniałam. Tyle czasu spędziłam bezpiecznie otulona oparami miejskiej doczesności, świadomie spychając w niepamięć całe swoje dzieciństwo, że teraz, nawet kiedy zaciskam oczy i próbuję ze wszystkich sił, aż zaczyna mnie boleć głowa, z trudem udaje mi się przywołać wspomnienia dawnego życia.

Mimo że słońce świeci oślepiająco, panuje dotkliwy chłód. „Nowy dzień na nowy początek”, powiedział dziś rano Dan. To dobry omen, znak, że postępujemy właściwie.

– Nie wierzę w znaki i omeny. – Uśmiechnęłam się, lecz twarz musiała mnie zdradzić, bo mąż położył mi delikatnie dłoń na łokciu i powiedział:

– Będzie wspaniale. Jak wakacje na wsi. Oboje zyskamy przestrzeń do życia, będziemy mogli odetchnąć pełną piersią.

Nie wspomniał tego, o czym naprawdę myślał – o rodzinie – i byłam mu za to wdzięczna.

– Wakacje? Nie sądziłam, że pisarze miewają coś takiego jak wakacje. Ja w każdym razie nie mam. Za cztery dni zaczynam nową pracę.

– Wiesz, o czym mówię. O wakacjach od tego wszystkiego.

Wskazał gestem w stronę okna i falujących tłumów, ludzi spieszących zwinnie ulicą, chociaż nie podnosili wzroku znad

smartfonów; na mężczyznę w kolorowej pelerynie rozdającego puste koperty, które, jak wiedziałam z doświadczenia, zawierają „dobre wibracje”; na kierowców naciskających klaksony nasadą dłoni, jeśli samochód przed nimi zwolnił poniżej pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

– Od ludzi. Od pośpiechu. Od codziennego młyna. Tego nam trzeba po tym gównie, przez które przeszłaś.

Gówno, przez które przeszłam. Jakby to, co się wydarzyło w Londynie, można było zbyć jak zwyczajny pech.

Pojawiają się pierwsze zabudowania – stodoły przerobione na domy, nowe rezydencje, które wyrosły, kiedy przemysł budowlany znowu poczuł grunt pod nogami. Kiedy byłam tu ostatnio, w tym miejscu rozciągało się szczerze pole. Okolica wygląda tak, jakby ktoś chciał dać Lichocie drugą szansę. Dan trąca mnie łokciem i wskazuje okno.

– Widzisz je? Kiedy sprzedamy dom twojej mamy, możemy kupić sobie coś takiego. Albo wybudować.

Uśmiecham się szeroko.

– A co ty wiesz o budowaniu domów? Mówię o prawdziwych domach, nie tych twoich fikcyjnych światach. Budowanie ich nie jest takie proste jak tworzenie ich na papierze.

– Tak może powiedzieć tylko ktoś, kto nigdy nie próbował opisać zamku na pustyni widzianego oczami orka. – Przez chwilę udaje urażonego, po czym odpowiada takim samym, łobuzerskim uśmiechem. – Dobrze, więc na razie pozostajmy przy opcji kupienia gotowego domu. Dużego, z przestronnym wnętrzem.

– I z basenem oraz naszymi inicjałami wrytymi na marmurowej podłodze w holu – uzupełniam ze śmiechem. – Masz rozbuchane wyobrażenia o domu starej babci Tandy. O jego wartości najlepiej świadczy fakt, że mamie nigdy nie przyszło do głowy, aby go sprzedać.

Na słowo „mama” ściska mnie w żołądku. Ona nie żyje, Imogen.

Drogi wjazdowej do miasta nie spowijają pełznące obłoki szarej mgły; na poboczu nie stoi wysuszona starucha ostrzegająca nas z wyciągniętym sękatym palcem, abyśmy nie wjeżdżali dalej; na tablicy głoszącej *Witamy w Lichocie* nie siedzi czarny kruk, kraczący „Nigdy więcej”, mimo to groza zaciska lodowate szpony wokół mojej piersi i przez chwilę nie mogę złapać oddechu. Tablica jest zniszczona i zmurszała, napis tak spłowiały, że u nikogo nie może wzbudzić myśli o ciepłym powitaniu; kiedy na niego patrzę, litery ciemnieją, jakby na moich oczach pokrywały się czarną pleśnią. Kilka metrów dalej skręca w lewo droga prowadząca do domu mojej mamy. Czuję w piersi ucisk, jezdnia rozmywa mi się przed oczami. Wyciągam rękę i chwytam Dana za ramię.

– Nie jedź tam. – Z mojego gardła wydobywa ledwo słyszalne charczenie.

Dan zerka na mnie z ukosa; na jego twarzy maluje się troska. Zwalnia.

– Im, co się stało? Mam się zatrzymać?

Zerkam ponownie na tablicę – nadal nie wygląda zachęcająco, ale nie widzę już czarnej pleśni na literach, a na moje policzki powracają kolory, ponieważ rumienię się ze wstydu. Co się ze mną dzieje?

Przed nami leży Lichota, obserwuje, czeka.

– Nie, nie. Nic mi nie jest – kłamię. – Pomyślałam tylko, że zanim pojedziemy do domu, moglibyśmy wpaść do miasta i kupić coś do zjedzenia na wynos. Nie wiem, czy włączyli już prąd.

Dan kiwa lekko głową, ale z jego czoła nie znikają zmarszczki zatroskania. Ostatnio ciągle się o mnie martwi.

– Dobry pomysł – zgadza się, spoglądając przez ramię. –

Mogłem to wcześniej zaproponować. Chociaż uważam, że powinniśmy zrobić zakupy, bo wątpię, żeby restauracje w twoim rodzinnym mieście miały zbyt bogatą ofertę.

– To nie jest moje... – zaczynam, po czym wzruszam ramionami. Przynajmniej przestało mi walić w piersi. – Tam jest frytkarnia... Przynajmniej kiedyś była.

Dan mija drogę do domu i jedzie prosto do głównej ulicy miasta półtora kilometra dalej. Przypominam sobie, jak chodziłyśmy z Pammy długimi, wąskimi uliczkami do sklepu, jak przekonywałyśmy starszych chłopców, żeby nam kupili alkohol, a w zamian obiecywałyśmy się z nimi podzielić; jak ubiegałam się o weekendową pracę w sklepie, chociaż nie wierzyłam, że uda mi się wygrać rywalizację z Michelle Hoffman czy Theresą Johnson. Zastanawiam się, co teraz robią te dziewczyny; mam małoduszną nadzieję, że nadal sprzedają za ladą na rogu ulicy.

– Podoba mi się to, że będziemy mieli wszystko co najlepsze z obydwu światów. – Dan przerywa pełne zadumy milczenie, które zapanowało w samochodzie. – Piękny i cichy wiejski krajobraz oraz śródmiejską ulicę ze sklepami kilometr od domu. Nadal będę mógł biegać rano po świeże bułeczki i kawę...

– „Nadal”? – Wybucham śmiechem na myśl o moim mężu w białym fartuszkach z falbankami, biegnącym po świeży chleb do piekarni. – A kiedy ty robiłaś takie rzeczy? Przypniję, że gdy wyobrażałam sobie, jak to jest mieć męża w domu, bardziej myślałam o kimś w rodzaju gosposi niż przerośniętego nastolatka oglądającego Netflixa i wyjadającego najlepsze smakołyki.

– Nie jestem „mężem w domu”, tylko artystą.

– No cóż, panie Bestseller, więc w czasie, kiedy ja oswiam ze szkołą wszystkie te dzieciaki, które dzięki tobie bujają w chmurach, mógłbyś przynajmniej zorganizować rano świeży chleb i kawę.

Dan uśmiecha się promiennie, a ja natychmiast żałuję swojej beztroskiej nonszalancji. Nie wolno mi zapominać, że każda tego typu uwaga podsycy tylko jego pragnienie, aby jak najszybciej założyć rodzinę. Nie rozumie, że na dźwięk słowa „dziecko” ścisną mnie w żołądku. Odwracam głowę i wyglądam przez okno z nadzieją, że mój mąż odbierze to jako sygnał końca rozmowy.

W sobotnie popołudnie główna ulica miasta przypomina godziny świtu w Londynie. Moją uwagę przyciągają dwie dziewczynki stojące na chodniku twarzami do siebie. Jedna ma długie, ciemne włosy zasłaniające twarz. Wygląda, jakby wrosła w ziemię, podczas gdy druga – atrakcyjna blondynka, ubrana zbyt dorośle – pochyla się i coś do niej mówi. Może w coś grają, lecz odnoszę wrażenie, że jest w tej scenie coś dziwnego. Właśnie przejeżdżamy obok nich i zamierzam zwrócić na nie uwagę Danowi, lecz w tym samym momencie blondynka cofa się kilka kroków w kierunku ulicy.

– Uważaj! – wołam ostrzegawczo. – Ona wygląda, jakby...

Moje słowa zamieniają się w krzyk. Dziewczyna wypada na jezdnię prosto pod nasz samochód, a ja zaciskam oczy. Słyszę pisk hamulców, a po sekundzie głuchy łoskot.

3

Ellie

Dzień ciągnął się chyba dłużej niż całe wakacje. Chociaż rok szkolny zaczął się sześć tygodni temu, Sara dopiero teraz zabiera je do sklepu, bo Mary chyba dosłownie z dnia na dzień urosły cycki i trzeba jej kupić nowe bluzki. Ellie pewnie odziedziczy stare workowate, spłowiałe ubrania po przybranej siostrze.

Sara w nieskończoność biadoliła nad cenami. Ma jedną z tych swoich list i ustalony budżet, chociaż biedna, młoda sprzedawczyni w nieskończoność tłumaczyła jej, że są jedynym dystrybutorem w mieście i w całej okolicy nie znajdzie nic tańszego.

Ellie kopie z nudów w regał na stoisku, Mary rzuca jej od czasu do czasu współczujące spojrzenie i wtedy wchodzi ona – Naomi Harper. Jakby mało było nieprzyjemności jak na jeden dzień. Matka Naomi wita się z Sarą niczym stara przyjaciółka, chociaż Ellie nigdy nie widziała, żeby zamieniły ze sobą choćby słowo. Wybuchają chóralnym „Co za niespodzianka, wy też tutaj!” i „Co tam u was?”. Następnie mama Naomi posyła córce czułe spojrzenie i oznajmia, że dziewczyna dosłownie wystrzeliła w ciągu ostatnich tygodni. I nie ma pojęcia, że choćby kupiła swojej drogiej latorośli najdłuższe spódnice, Naomi i tak podciągnie je, gdy tylko wyjdzie za próg domu, myśli Ellie. Mary, która jest cztery lata starsza od obu dziewczynek i prawie nie zna Na-

omi Harper, rzuca Ellie pytające spojrzenie, lecz ta tylko wzrusza obojętnie ramionami.

– Boże, co za koszmar! Nie sądziłam, że nawet w weekend będę musiała oglądać twoją paskudną gębę – syczy Naomi ze złościwością godną dużo starszej dziewczyny.

Ellie wyobraża sobie strzałę wylatującą znad jej ramienia i przebijającą lewe oko Naomi, widzi krew i ropę sączącą się ze zmasakrowanego oczodołu, ale nie odzywa się ani słowem.

– Język połknęłaś czy co? – Naomi marszczy brwi, widząc, że Ellie nie reaguje na prowokacje. Zachowuje się trochę jak małe dziecko, które trąca patykiem gniazdo os i niecierpliwi się, że nic ze środka nie wylatuje. – No dalej, Ellie od Śmierdzieli, powiedz coś.

Ellie zaciska pięści, aż bieleją jej kłykcie. Nie może się rozgniewać, ale to takie trudne, kiedy policzki aż palą, a serce wali w piersi coraz szybciej. Patrzy na Mary, lecz chociaż skupia się ze wszystkich sił, nie potrafi nakłonić swojej przybranej siostry, żeby się odwróciła i grzmotnęła Naomi w twarz. Pragnie, aby Sara oznajmiła, że to miejsce jest za tanie na ich gust, pragnie zobaczyć, jak rzędną uśmiechy na twarzach tej okropnej dziewczuchy i jej podłej matki. Niestety, nic takiego się nie dzieje.

Dzieje się natomiast coś innego. Naomi Harper bez najmniejszego ostrzeżenia wyciąga rękę i strąca z regału cały rząd tenisówek, tuż za plecami Ellie, po czym błyskawicznie odskakuje, żeby nikt nie zdążył zauważyć.

– Ellie! – wykrzykuje Sara i purpurowiejąc na twarzy, rzuca się, żeby posprzątać bałagan. – Czemu to zrobiłaś?

Nie ma sensu protestować, Sara i tak nie słucha, a Naomi i jej matka wymieniają spojrzenia, jakby Naomi mówiła: „A nie mówiłam?”. Tylko Mary przygląda się podejrzliwie Ellie i jej koleżance ze szkoły.

– Czy mogę zaczekać na dworze? – pyta Ellie.

Wie, co się stanie, jeśli wpadnie w złość. Choć w tej chwili nienawidzi Naomi z całego serca, zdaje sobie sprawę, że może zrobić tylko jedno, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli: wycofać się.

– Pójdę z tobą – proponuje Mary, ale Sara kręci głową.

– Musisz przymierzyć bluzkę. Ellie jest dużą dziewczynką i może poczekać pięć minut przed sklepem.

To prawda i gdyby sprawa się na tym zakończyła, wszystko byłoby dobrze. Gdyby tylko Naomi została w środku.

Niestety, kilka minut później dziewczyna stoi tuż koło Ellie i znowu sączy z ust jadowitą żółć.

– Wszyscy w szkole się zastanawiają, dlaczego jesteś takim dziwolągiem, wiesz o tym?

– Zostaw mnie w spokoju, Naomi – ostrzega Ellie.

– A ja wiem – ciągnie dziewczyna, nie zwracając na nią uwagi. Cofa się o krok; prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, że tym, co zamierza powiedzieć, nie trąci patykiem gniazda os, tylko roztrzaska je, rozerwie na strzępy i zajrzy do środka. – Chcesz usłyszeć, co ja wiem?

– Nie – odpowiada Ellie. Jej serce kołacze niespokojnie w piersi, zaczynają ją mrowić ręce. Wie, że coś się za chwilę stanie, ale jest bezsilna, nie może tego powstrzymać. Może tylko patrzeć jak przypadkowy obserwator na rozgrywającą się scenę. – Zamknij się.

– Coś ty powiedziała? „Zamknij się”? Do mnie?

Naomi wytrzeszcza na nią oczy z niedowierzaniem. Nie ma o niczym pojęcia. Jeszcze.

– Po prostu przestań i wróć do środka – ostrzega Ellie. Gniew wzbiera w niej jak mały kłębek wełny, który rośnie i rośnie, i robi się coraz twardszy.

– Myślisz, że mnie przestraszysz? Wyglądam, jakbym się bała?

Ellie wbija w nią wzrok, jej oczy jeszcze bardziej ciemnieją z wściekłości.

A powinnaś się bać, Naomi Harper. Powinnaś.

– Idź stąd. Musisz odejść. Idź stąd – mamrocze. – Zanim coś ci się stanie.

– W co ty pogrywasz? – pyta Naomi. Jej głos jest tak samo arogancki jak przed chwilą, tak samo rozkazujący, lecz teraz po-brzmiewa w nim jakaś nuta niepewności, może nawet strachu. – Rety, ale z ciebie szajbuska.

Robi krok naprzód, wyciąga rękę, żeby popchnąć ją w ramię.

– Idź stąd – nakazuje Ellie, tym razem głośniej.

Dłoń Naomi opada, nie dosięgnąwszy celu. Ellie zaciska pięści i zamyka oczy. Panuj nad sobą. Panuj nad sobą.

– Co ty robisz? – Naomi, cofa się o krok. – Co ty tam mamroczesz? Przestań. Przestań natychmiast! – Cofa się jeszcze bardziej, krzywo stawia nogę i potyka się.

Słowa Ellie nabierają mocy; nadal nie otwiera oczu, a jej war-gi powtarzają w kółko:

– Idź stąd, idź stąd, idź stąd...

Naomi prawie nie zauważa, że jej pięta trafia na krawężnik, ale serce wyczuwa okropny moment, kiedy traci równowagę, młóci ramionami powietrze i wypada na ruchliwą jezdnię. I cho-ciaż za jej plecami trąbi klakson, piszczą hamulce i krzyczą lu-dzie, Naomi Harper słyszy tylko te słowa:

– Idź stąd, idź stąd, idź stąd...

4

Imogen

Gwałtowne hamowanie rzuca mną do przodu. Przerażona odrywam dłonie od oczu, spodziewając się widoku zwiniętego dziecięcego ciała, lecz zamiast tego widzę oszołomioną dziewczynkę siedzącą na jezdni, a przed nami samochód, w który Dan uderzył, aby ją ominąć. Rzucam się do drzwi i kiedy klękam obok dziewczynki, z najbliższego sklepu wypadają dwie kobiety, a zaraz za nimi nastolatka, starsza od dziewczynek, które widziałam na ulicy. Wrzask pierwszej kobiety przeszywa powietrze niczym gorący nóż rozcinający masło.

– Naomi! – Przypada do oszołomionego dziecka na jezdni i przyciska je do piersi. – Niech ktoś wezwie pogotowie! Co się stało, kochanie?

Naomi rozgląda się w szoku, przenosi wzrok z samochodu na drugą dziewczynkę.

– Wypadła nam prosto pod koła – wyjaśniam, pragnąc jak najszybciej oczyścić nas z winy, ale kobieta nawet na mnie nie patrzy.

– To ona ci to zrobiła? – Wskazuje palcem dziewczynkę stojącą na chodniku i Naomi kiwa głową. Jej matka wstaje i odwraca się z wściekłością wyrętą na twarzy. – Coś ty jej zrobiła?

Druga kobieta i nastoletnia dziewczyna stają przed oskarżoną, jakby ją osłaniały.

– Ellie, co się stało? – pyta gorączkowo ta pierwsza. Czyżby matka? – Co zrobiłaś Naomi?

Ellie nie odpowiada, tylko bez słowa wpatruje się w Naomi. Czy to gniew płonie w jej oczach? Czy strach?

– Mogłaś ją zabić! – wrzeszczy matka Naomi. – Ona próbowała zabić moją córkę!

– Chwileczkę – wtrącam się. Wyciągam rękę, aby uspokoić sytuację, zanim wymknie się spod kontroli. Jak ona może tak wrzeszczeć na wstrząśnięte dziecko? – Wiem, że denerwuje się pani o córkę, ale to nie powód, żeby od razu rzucać oskarżenia.

– Przepraszam, a kim pani jest?

Matka Naomi piorunuje mnie wzrokiem, a ja już wiem, że nie znoszę tej kobiety.

– Wygląda na to, że jestem jedyną osobą, która widziała, co tu zaszło. Ta dziewczynka... Masz na imię Ellie, tak? – Odwracam się do dziecka, lecz ono milczy. Jej mama odpowiada skinieniem głowy. – Ellie nawet nie dotknęła Naomi. Myślę, że powinna się pani nieco uspokoić.

– Uspokoić się? Czy pani ma dzieci? – Matka Naomi nie czeka na moją odpowiedź. – Gdyby pani miała dzieci, wiedziałyby pani, jakie to uczucie, kiedy ktoś je wpycha pod samochód.

– Ona nie...

– Co się dzieje? – Obok mnie zjawia się Dan i opiekuńczo kładzie mi dłoń na ramieniu. – Nic jej się nie stało? A tobie?

Błady ze zdenerwowania patrzy na Naomi, która stoi na brzegu ulicy.

Krzyżuję ramiona na piersi. Tylko spokojnie, Imogen. Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Dan i tak już wystarczająco się o ciebie martwi.

– Nic jej nie jest, Dan, nie potrąciliśmy jej. – Staram się mówić cicho i spokojnie, nie okazywać zdenerwowania. – Ze mną

też wszystko w porządku. A z tobą? Nie uderzyłeś się? Chyba ktoś już zadzwonił po pogotowie. Może powinniśmy wezwać policję? Nie chcę, żeby ktoś nas oskarżył o ucieczkę z miejsca wypadku.

Milknę raptownie, uprzytomniwszy sobie, że moja paplanina jest efektem szoku, który właśnie dochodzi do głosu. Przez chwilę byłam pewna, że ją uderzyliśmy. Że ją zabiliśmy.

Dan przyciąga mnie do siebie i przytula, a ja poddaję się uspokajającemu objęciu jego mocnych ramion.

– Już wezwałem policję – oznajmia. – Rozmawiałem też z kierowcą tego samochodu. Wygląda na to, że wszyscy są cali i zdrowi. Poza samochodami. Diabli wezmą ubezpieczenie.

– Nie wszyscy są cali i zdrowi – warczy matka Naomi, która najwyraźniej nie ma najmniejszego zamiaru się uspokoić. – Moja córka... – Jej słowa toną w odgłosach podjeżdżającej karetki i wozu policyjnego. – Och, chwała Bogu, nareszcie.

– Dostaliśmy zgłoszenie, że potrącono dziewczynkę – mówi ratownik z pogotowia, patrząc na przemian na Naomi i Ellie. – Kazaliśmy nikogo nie ruszać.

– Samochód jej nawet nie dotknął – odzywamy się jednocześnie z Danem. – Sama się od razu podniosła.

Policjant odwraca się do mojego męża.

– Czy to pan prowadził pojazd?

Dan kiwa głową, a wtedy funkcjonariusz wyjmuje długopis i notatnik.

– W takim razie proszę opowiedzieć, co się stało.

– Co się stało? – naskakuje na niego matka Naomi. – Powiem panu, co się stało. Ona próbowała zabić moją córkę! – Wyciąga palec w stronę Ellie, która nadal stoi bez ruchu, z twarzą jakby obleczoną maską. – Popchnęła ją...

– Zaraz, zaraz – przerywam jej. Czuję, jak twarz czerwienie-

je mi z gniewu. – Ellie stała daleko od pani córki, kiedy ta upadła. Widzieliśmy je. Dzieliło je co najmniej pół metra. Naomi cofnęła się i przewróciła na jezdnię.

– To prawda – odzywa się nastolatka stojąca obok roztrzęsionej kobiety. – Widziałam ze sklepu, mamusi. Ellie jej nie dotknęła.

Podchodzi i obejmuje Ellie, na co dziewczynka wtula twarz w jej ramię.

– Czy pan również to widział? – pyta policjant, patrząc na Dana.

– Na pewno tak. – Dan zerka na mnie, jakby szukał potwierdzenia. – Tak... to znaczy... to się wydarzyło tak szybko... ale z całą pewnością nie widziałem, żeby ktoś goś popychał.

– Chcecie komuś wmówić, że moja córka sama przewróciła się na ulicę? – pyta matka Naomi, jeszcze bardziej rozwścieczona. – Ona ma dwanaście lat, nigdy się nie przewraca. Powiedz im, Naomi, powtórz to, co mi powiedziałaś.

– Ja... – Naomi wygląda jak zając złapany w reflektory samochodu. – Ona... ja... ja upadłam – kończy cicho.

Jej matka wygląda, jakby ją spoliczkowano. Trochę mi wstyd, ale zalewa mnie fala triumfalnej radości, kiedy jej policzki oblewa rumieniec.

– Przecież powiedziałaś...

– Pomyliłam się. To był wypadek, w porządku?

Czyżby to strach przemknął po jej twarzy? Jeśli tak, to chyba nikt poza mną tego nie zauważył.

– Widzę, że nikt tu nic nie zrobi – fuka jej matka. – Chodź, Naomi. – Chwyta córkę za ramię, lecz ratownik wyciąga rękę, żeby ją powstrzymać.

– Przepraszam, ale skoro tu przyjechaliśmy, to musimy zba-
dać pani córkę.

– Przecież pan słyszał, co powiedziała. Przewróciła się! Samochód jej nawet nie dotknął!

– Nie szkodzi, trzeba to sprawdzić. – Mężczyzna uśmiecha się przepraszająco. – Nie dopełniłbym obowiązków, gdybym tego nie zrobił.

– A ja muszę zebrać od państwa zeznania – informuje policjant. – To nie potrwa długo. Chyba że chce pani złożyć oskarżenie o usiłowanie zabójstwa.

Z przyjemnością patrzę, jak twarz matki Naomi po raz drugi oblewa się rumieńcem. Dobrze jej tak.

– Nie, wygląda na to, że to nie będzie konieczne.

Patrząc na obie dziewczynki, trudno ocenić, co naprawdę między nimi zaszło. Przez cały czas trwania dyskusji Ellie ani razu nie próbowała się bronić, prawdopodobnie sparaliżowana despotycznym zachowaniem matki Naomi. Dopiero teraz mogą jej się przyjrzeć. Jest blada jak prześcieradło, wzrok ma martwy, ale trudno się dziwić dziecku, które przed chwilą przeżyło słowną napaść dorosłej kobiety. Próbuję uchwycić jej spojrzenie, żeby ją pocieszyć, lecz nie patrzy w moją stronę.

– Czy możemy poczekać w samochodzie? – pytam policjanta.

Pragnę jak najszybciej odciąć się od tej klaustrofobicznej sceny. Na szczęście policjant kiwa głową.

– Jeśli nic się państwu nie stało i z samochodem wszystko w porządku, to możecie zjechać tutaj. – Wskazuje krawężnik. – Jeśli nie, możemy poprosić lekarza, żeby najpierw zajął się wami.

– Nie, nie, nic nam nie jest – odpowiada Dan. – Zjedziemy na bok i poczekamy.

Wracamy do samochodu i sprawdzamy maskę. Kierowca drugiego pojazdu wysiadł i rozmawia z policjantem. Ciekawa jestem, co mu mówi. Czy on również widział dziewczynki na chodniku przed wypadkiem? Uszkodzenia naszego wozu nie wy-

glądają tak źle, jak można by sądzić po odgłosie uderzenia, i na szczęście silnik odpala bez problemu. Danowi lekko drżą dłonie na kierownicy.

– Chryste, to się nazywa wjazd do miasta – mówi. – Wszystko w porządku?

Kładzie mi dłoń na udzie. Jest ciepła i działa uspokajająco. Po dziesięciu latach wspólnego życia nadal czerpię siłę z jego dotyku, niczym sukub; wysysam z niego spokój i wchłaniam w swoje ciało. Zawsze tak na mnie działał. Kiedy się poznaliśmy, miałam ochotę leżeć z głową na jego piersi i oddychać jego ciepłym, pokrzepiającym oddechem.

Z roztargnieniem kiwam głową.

– Tak, wszystko w porządku – mamroczę.

Przyglądam się dziewczynkom stojącym w towarzystwie policjanta i ratownika, kobiecie, która tak pochopnie oskarżała dziecko o usiłowanie zabójstwa, i drugiej, która nie zrobiła nic, by bronić córki przed oszczerstwami.

Gdzie ja nas przywiozłam?